

Lyndon Baines Johnson



Nigdy, odkąd pierwszy prezydent Johnson objął urząd w 1865 r., prezydentura nie rozpoczęła się wśród takich tragedii i zamieszania, jak Lyndon Baines Johnson, gdy składał przysięgę 22 listopada 1963 na pokładzie Air Force One, zaparkowanym na Love Field w Dallas. Był to samolot, który wcześniej tego dnia przywiózł do miasta prezydenta Johna F. Kennedy'ego w podróż, która miała zakończyć się jego zamachem. W ponurych następstwach tego wydarzenia, kiedy prezydent Johnson przyjął w Białym Domu dygnitarzy z całego świata, którzy przybyli do Waszyngtonu na pogrzeb Kennedy'ego, znalazł się w świetle reflektorów jaśniejszym niż jakikolwiek przybysz, prezydent kiedykolwiek musiał znosić. Stanął przed trudnym wyzwaniem, jakim było zastąpienie postaci męczennika i natychmiastowa rywalizacja z tą pamięcią o aprobatę opinii publicznej. Dostając się do Białego Domu, Johnson spełnił ambicję swojego życia (jako zaledwie dwunastolatek powiedział swoim kolegom z klasy: „Pewnego dnia zostanę prezydentem Stanów Zjednoczonych”), ale wkrótce zrozumiał, że nie odziedziczyłby wraz ze swoim urzędem szacunku ludu. Wielu wiernych Kennedy'ego od razu i na zawsze uznało Johnsona za „uzurpatora” Camelotu, niegodnego zasiadania na krześle JFK. Rzeczywiście, dla nich nowy mężczyzna, zwłaszcza mniej przystojny i chłopięcy niż Kennedy i „z kilkoma siwymi włosami na głowie”, które Johnson lubił mawiać, są niezbędne na stanowisku dyrektora generalnego, wydawał się praktycznie prezydentem-oszustem. Nie mogli przyzwycząić się do akcentu z Teksasu, niespotykanego dotychczas w Gabinetach Ovalnym, gdzie nagle zastąpił on bostońsko-harwardzki akcent, do którego przywykł naród. Johnson pozwolił sobie nawet na rodzaj humoru, który uznali za obraźliwy: nie był dowcipny i literacki jak ich bohater, ale często prostacki, a czasem skatologiczny. Strażnicy płomienia Kennedy'ego sprawiali wrażenie, jakby z niecierpliwością czekali na pojawienie się kolejnego z braci Kennedy na stanowisku prezydenta, a tymczasem zachowywali się, jakby reprezentowali coś w rodzaju rządu na uchodźstwie. Johnson, niezwykle wrażliwy człowiek z głęboką niepewnością osobistą pomimo stwarzanego przez siebie wizerunku macho, poczuł się poniżony, jak sugeruje jego często powtarzane przypomnienie: „Jestem jedynym prezydentem, jakiego masz”. Żył ze swoim koszmarem, że w kolejce prezydentów, zostałby zapamiętany jako wciśnięty pomiędzy dwoma Kennedy'ami. Trzeba przyznać, że Johnson też miał rzeszę wielbicieli. Niemal natychmiast wprowadził do Białego Domu nowy styl, którego symbolem było zakończenie kolacji haute cuisine i zastąpienie ich bardziej domowymi daniami amerykańskimi. Miliony z radością o tym usłyszały. A wielu ludzi na całym świecie wydawało się, że w starszej, szorstkiej twarzy Johnsona i jego długim doświadczeniu spędzonym w Waszyngtonie dostrzegło prawdopodobny dowód cennego doświadczenia i dojrzałości. I wreszcie – co nie mniej

ważne – Lady Bird Johnson, elokwentna i taktowna żona prezydenta, szybko zyskała przychylną uwagę, co pomogło zapewnić kraj, że ta para prezydencka jest zadowolającym następcą Kennedych. Johnson, który przez lata miał dominujący głos w Senacie, był niezmiernie dumny ze swojej reputacji legislacyjnego giganta, słusznie w porównaniu z takimi postaciami jak Webster, Clay i Calhoun. Uważał jednak, że jako wiceprezydent podczas tysiąca dni rządów Kennedy’ego jego talenty musiały pozostać odłogiem. Teraz, dzięki nagłemu zbiegowi okoliczności, miał w ręku dźwignie władzy i wręcz pragnął z nich korzystać – chcąc, aby jego karta w historii błyszczała tak samo olśniewająco, jak karta każdego innego prezydenta

Wczesne lata

Lyndon Baines Johnson urodził się 27 sierpnia 1908 r. niedaleko Stonewall w Teksasie. Jego ojciec, Sam Ealy Johnson Jr., był członkiem Izby Teksaskiej i niedawno stracił kilka tysięcy dolarów na spekulacji bawełną. Jego matka, Rebekah Baines Johnson, wychowana na obrzeżach małego miasteczka Blanco, była córką prawnika Josepha Wilsona Bainesa. Wcześniej zajmował miejsce w Izbie Reprezentantów Sam Johnson. Rebeka pracowała na swój sposób w Baylor College w Belton, gdzie znalazła zachętę do rozwijania swoich żywych zainteresowań literackich i kulturalnych. Kiedy Lyndon miał pięć lat, rodzina przeniósł się do Johnson City. Sam Johnson z trudem zarabiał na życie, podczas gdy Rebeka Johnson pilnie pracowała, by związać koniec z końcem. Ale pieniędzy nigdy nie było dość i Lyndon często z pogardą mówił o stałej diecie składającej się z kaszy, warzyw, chleba kukurydzianego i słoniny, którą stosował w jego wczesnych latach. Chociaż rodzina nigdy nie była tak trudna, jak Johnson lubił później to powtarzać, rozwinął w sobie coś, co okazało się trwającą całe życie sympatią dla zwykłych ludzi, których życie naznaczone było niepewnością ekonomiczną i ubóstwem. Jako chłopiec Johnson nie lubił nosić domowych ubrań, które kiedyś, ku jego niewysłowionemu zawstydzeniu, obejmowały garnitur Buster Brown. Jego matka udzielała mu prywatnych korepetycji z dykcji, aby opłacić mu naukę tańca i gry na skrzypcach. Nienawidził treningu w obu przypadkach i ostatecznie odmówił udziału w dalszych lekcjach. Nie nazwano by go „mądrym”. Jak na ironię, w Białym Domu jego znakomity i niestrudzony taniec towarzyski podczas uroczystości publicznych oczarował, a czasem zadziwił jego gości. Już jako młody Johnson pragnął mieć udział w otaczającym go rosnącym bogactwie, które opierało się głównie na boomie na rynku ropy i wołowiny. Mimo to rozpaczał, czy zdobędzie choćby przyczółek. Poświęcił czas, pracując dla rolników w Johnson City i okolicach. Przez pewien czas był diabłem drukarskim w lokalnej gazecie. Czyścił także buty u fryzjera. Kiedy dorósł, wydawał się jednocześnie ambitny i pozbawiony celu. Polityka zaczęła interesować chłopca, gdy w 1919 roku Sam Johnson odzyskał swoje dawne miejsce w legislaturze stanowej. Lyndon stał się znajomym widokiem, gdy siedział obok ojca na podłodze Texas House. Wkrótce młodzieniec zapragnął zostać politykiem i milionerem. Po wycieczce do Kalifornii z przyjaciółmi i ukończeniu szkoły średniej usłuchał dokuczliwej rady matki, aby szukać dalszej edukacji. Rozpoczął studia w Southwest Texas State Teachers College w San Marcos, które ukończył w 1930 roku. Aby się utrzymać, przerwał studia i podjął pracę nauczyciela w „meksykańskiej” szkole w Cotulla w Teksasie. Pewnego dnia analitycy głosowania uznaliby, że bliskie związki Johnsona ze społecznością meksykańsko-amerykańską przyczyniły się do umieszczenia Teksasu w kolumnie Kennedy’ego-Johnsona podczas wyborów w 1960 r. Johnson krótko nauczał także w Pearsall i Houston, gdzie zdobył uznanie, szkoląc studentów w zakresie wystąpień publicznych i debatować. Ale świat polityki okazał się nie do odparcia. W 1931 roku Johnson chętnie wykorzystał okazję i został prywatnym sekretarzem Richarda Kleberga, syna właściciela legendarnego rancza King Ranch, który właśnie został wybrany do Kongresu. W Waszyngtonie Johnson szybko zaznajomił się z labiryntami biurokracji tak samo, jak z krajobrazem swojego górskiego kraju w Teksasie. Następnie w 1934 roku ożenił się w San Antonio z Claudią Altą Taylor z Karnack w Teksasie, znaną niezmiernie pod pseudonimem Lady Bird. Nie mająca jeszcze dwudziestu dwóch lat Lady Bird Johnson wniosła do życia Johnsona tak potrzebną stabilizację; jej ujmującość w połączeniu z przenikliwą oceną ludzi od samego początku znacząco

pomogły w rozwoju jego kariery. Z politycznego punktu widzenia Johnson był dzieckiem nowych możliwości, jakie era Franklina D. Roosevelta otworzyła dla osób ubiegających się o urzędy, które chciałyby pomóc w powiększeniu i redystrybucji zasobów narodu. Po twórczej karierze dyrektora Krajowej Administracji Młodzieży w Teksasie Johnson został wybrany do Izby Reprezentantów w 1937 r., aby wypełnić niewygasłą kadencję Jamesa P. Buchanana w Dziesiątym Okręgu. Przyzwyczajony już do zwyczajów Kongresu Johnson skorzystał z pełnych czci rad od spikera Sama Rayburna, również Teksasńczyka. Z kolei Rayburn, który nie był żonaty, traktował Johnsona jak syna i szybko zmienił go w „osobę znającą się na rzeczy” pomimo braku stażu pracy. Johnson zasiadał w tej izbie do 1948 r., po czym pięciokrotnie został wybrany ponownie, ciesząc się stale rosnącą reputacją dzięki swemu rzemiosłu w kierowaniu swoim wyborcom znacznej części nagród zapewnianych przez programy gospodarcze Nowego Ładu. Johnson przerwał swoją posadę w Izbie wkrótce po ataku na Pearl Harbor, aby służyć jako komandor porucznik po przyjęciu do służby w Rezerwie Marynarki Wojennej w 1940 r. Był pierwszym członkiem Kongresu, który podjął czynną służbę podczas II wojny światowej. Generał Douglas MacArthur przyznał mu Srebrną Gwiazdę za „waleczność w akcji”, gdy patrolowy bombowiec, nad którym leciał Johnson, został ostrzelany przez japońskie samoloty Zero w pobliżu Port Moresby na Nowej Gwinei. (Krytycy powiedzieli później, że to odznaczenie zapewniło Johnsonowi pozycję polityczną, a nie osobiste męstwo. Jednak przez resztę życia Johnson z dumą nosił insygnia medalu w klapie). Niemal natychmiast po otrzymaniu nagrody Johnson odpowiedział do dyrektywy Roosevelta, aby członkowie Kongresu opuścili służbę wojskową i wznowili swoje obowiązki legislacyjne. Po sześciu miesiącach w mundurze Johnson był zadowolony, że wrócił za swoje biurko w Waszyngtonie. Johnson wygrał wybory do Senatu w 1948 r. (w 1941 r. nie udało mu się kandydować) większością osiemdziesięciu siedmiu głosów, dzięki czemu zyskał przydomek „Landslide Lyndon”. Sprawował tę funkcję do czasu objęcia funkcji wiceprezydenta w 1961 r. Przez dwa lata był przywódcą mniejszości, a od 1956 do 1960 przywódcą większości, zdobywając wśród zwolenników ogromną sławę jako ustawodawczy mąż stanu i wśród krytyków jako handlarz kołami. Jego wybór przez Kennedy'ego na wiceprezydenta, pomimo dużego sprzeciwu w obozie Kennedy'ego, był wynikiem rozczarowujących wysiłków w celu uzyskania nominacji na prezydenta. Jako wiceprezydent Johnson był ignorowany przez wiele prominentnych osobistości administracji i przez większość czasu pozostawał bezczynny, a jego wychwalana wiedza o Kongresie była w dużej mierze niewykorzystana. Chociaż przewodniczył kilku znaczącym komitetom publicznym i był wysyłany na misje zagraniczne, był przekonany, że większość jego zadań to nic innego jak zajęcie się pracą. Ukrywał swą tłącą się niechęć nawet wtedy, gdy w swoim początkowym apelu jako prezydent zapewniał społeczeństwo o ciągłości polityki. Podczas gdy Kennedy nawoływał podczas swego przemówienia inauguracyjnego: „Zaczynamy”, Johnson 27 listopada 1963 r. w swoim pierwszym przemówieniu do Kongresu nawoływał: „Dziś, w tej chwili nowego postanowienia, chciałbym powiedzieć wszystkim moim rodakom, kontynuujmy.”

Niedokończone sprawy

Braki Johnsona w miejskości Kennedy'ego nadrabiał energią tak niecodzienną, że jeden z doradców przypisał mu „dodatkové gruczoty”. Pomimo ciężkiego zawału serca w 1955 r. – „najgorszego, jaki może mieć człowiek i nadal żyć” – lubił powtarzać ludziom – Johnson bez reszty oddał się swojej pracy. Chociaż każdego popołudnia kładł się do łóżka na drzemkę, długie godziny przy biurku – spędzane głównie przy telefonie – zwieńczone „nocnym czytaniem” nie pozostawiały wątpliwości, że niczego nie wzbraniał się przed wypełnianiem swoich obowiązków. Pragnienie bycia akceptowanym przez ludzi i ciągłe poczucie bycia niekochanym doprowadzały go bezlitośnie do granic możliwości, gdy próbował dostać się do towarzystwa największych prezydentów kraju. Na początku był przywiązany do reputacji Kennedy'ego ze względu na jego popularność i walczył o zdobycie własnych oddanych fanów. Chęć pokazania, że tu rządzi, sprawiła, że jego pierwszy miesiąc na stanowisku był szalony. Od 23 listopada do 19 grudnia widział w swoim biurze prawie siedemset osób samotnie lub w małych grupach. Być

może chcąc zasugerować, że nowy dyrektor naczelny ma nastawienie ekonomiczne, Biały Dom dał do zrozumienia, że co wieczór gasił nieużywane oświetlenie elektryczne, co spowodowało, że przez pewien czas przewano go „Light Bulb Johnson”. Wciąż wstrząśnięty sytuacją. okoliczności związane z jego własnym wyniesieniem na prezydenta Johnson konsultował się ze spikerem Izby Reprezentantów Johnem McCormackiem z Massachusetts, kolejnym w kolejności sukcesji, w sprawie wszelkich nieoczekiwanych zmian w Białym Domu. Około pięćdziesięciu proponowanych projektów legislacyjnych marudziło w komisjach Kongresu, ale ustawa o prawach obywatelskich była w centrum uwagi Johnsona przez pierwsze kilka miesięcy. Jej uchwalenie jako Ustawy o prawach obywatelskich z 1964 r. stało się odtąd podstawą roszczeń Johnsona do sławy jako spadkobiercy i strażnika miejskiej liberalnej bazy Partii Demokratycznej. Ubiegając się o poparcie dla przyjęcia projektu ustawy, błagał Kongres ze względów sentymentalnych: „Żadna mowa pamiątkowa ani pochwała nie mogłyby bardziej wymownie uczcić pamięci prezydenta Kennedy'ego niż najwcześniejsze możliwe przyjęcie ustawy o prawach obywatelskich”. Krótko mówiąc, projekt ustawy, który Kennedy'ego, została wzmocniona poprzez szereg poprawek zaproponowanych przez zagorzałych zwolenników. Izba przyjęła poprawioną ustawę 10 lutego. W Senacie spotkało się to z obstrukcją południowców, która trwała osiemdziesiąt trzy dni i zakończyła się dopiero 10 czerwca uchwaleniem uchwały o zamknięciu. Ostatecznie ustawa weszła w życie 2 lipca. Johnson, czując się szczególnie odpowiedzialny jako południowiec, uczynił przyjęcie ustawy osobistą krucjatą. Jego wysiłki można nazwać jedynie herkulesowym, gdyż namawiał i pociągał za sznurki, aby pozyskać wsparcie od wczesnego ranka do późnej nocy, dzień po dniu, tydzień po tygodniu. Niejednokrotnie w Białym Domu strofował przeciwników lub szermierzy, krzycząc twarzą w twarz z nimi – często nos w nos: „Czy wiesz, jak to jest być czarnym?” Ustawa ta zapoczątkowała niektóre z najbardziej fundamentalnych zmian społecznych w historii Ameryki. Wśród swoich postanowień zakazywał dyskryminacji ze względu na rasę w miejscach obiektów użyteczności publicznej. Zawierał on ochronę prawa Czarnych do głosowania. Zabraniała dyskryminacji ze względu na rasę lub płeć przez pracodawców i związki zawodowe. Ponadto, w celu monitorowania funkcjonowania ustawy, powołano Komisję ds. Równych Szans w Zatrudnieniu. Aby przyspieszyć desegregację szkół, nowe prawo upoważniło prokuratora generalnego do kwestionowania przed sądem lokalnych praktyk dyskryminacyjnych.

Wielkie społeczeństwo

Johnson, po przeforsowaniu tego, co uważał za projekt ustawy Kennedy'ego, zaczął teraz pracować nad własnym programem legislacyjnym. Zaczął od ustawy o możliwościach gospodarczych, pierwszej salwy skoordynowanej „wojny z ubóstwem”, jak ją nazywał, która stała się jedną z cech charakterystycznych jego prezydentury. Ustawa, podpisana 20 sierpnia 1964 r., została sfinansowana ze środków w wysokości 948 mln dolarów. Ostatecznie zatwierdzono dziesięć programów w ramach Office of Economic Opportunity (OEO) utworzonego w ramach biura Białego Domu. Programy obejmowały „krajowy korpus pokojowy” do działania w dotkniętych kryzysem obszarach kraju, znany jako Ochotnicy w służbie Ameryce (VISTA); Korpusy Pracy, zaprojektowane jako program zarobkowy dla najciężej bezrobotnych; Head Start, aby pomóc potrzebującym dzieciom zrekompensować ich niekorzystne warunki kulturowe; oraz programy działań społecznych, aby pomóc biednym ludziom w prowadzeniu programów rządowych. Kiedy sesja Kongresu dobiegła końca, Johnson, rywalizując w myślach z legislacyjnymi osiągnięciami „Stu dni” Franklina D. Roosevelta, oświadczył uroczyście: „Na tej sesji Kongresu uchwalono bardziej istotne ustawodawstwo, zaspokojono więcej potrzeb krajowych, usunięto poruszać więcej kwestii narodowych niż jakkolwiek inna sesja w tym lub poprzednim stuleciu”. Johnson nabierał teraz tempa w pracy, w której był reklamowany jako ekspert – przekonując Kongres do działania. Najwyraźniej zniknęły trudności między władzą wykonawczą i ustawodawczą, których Kennedy nie był w stanie pokonać. Podobnie jak oni, uczyniła to samo pamięć o New Frontier Kennedy'ego. 22 maja w przemówieniu na Uniwersytecie Michigan Johnson przedstawił swoją własną

wizję Ameryki: „W waszych czasach mamy szansę skierować się nie tylko w stronę bogatego i potężnego społeczeństwa, ale także w górę, do Wielkiego Społeczeństwa. Wielkie Społeczeństwo opiera się na obfitości i wolności dla wszystkich. Wymaga położenia kresu biedzie i niesprawiedliwości, którym w naszych czasach jesteśmy całkowicie oddani”. Możliwość urzeczywistnienia takiej wizji zapewniła powszechne poparcie nowemu prezydentowi, który najwyraźniej rzeczywiście był w stanie zastąpić Kennedy'ego. Sondaże wykazały, że Johnson jest bardziej popularny niż jego poprzednik w porównywalnym okresie jego prezydentury. Zdawało się, że naród zdawał się przenikać niezwykle poczucie pewności i jedności, chociaż spostrzegawczy ludzie widzieli, że podniecenie związane z falą legislacyjną maskowało kłopoty, które narastały w Wietnamie. Tam komuniści w północnej części kraju chcieli zaatakować południową część, którą Stany Zjednoczone zobowiązały się wspierać.

Kampania 1964 r

Na tle tych korzystnych i złowieszczych wydarzeń rozpoczęła się kampania prezydencka 1964 roku. Było przesądzone, że Johnson otrzyma nominację Demokratów, którą otrzymał w Atlantic City pod koniec sierpnia pośród wielkiego zamieszania wokół wyboru kandydata na wiceprezydenta. Johnson, który bawił się w kotka i myszkę z kilkoma możliwymi kandydatami (wykluczył już Roberta F. Kennedy'ego, brata zmarłego prezydenta), szuka mężczyzny, jego zdaniem, „atrakcyjnego, rozsądnego i Postępowy”. Wierzył, że znalazł go w osobie Huberta H. Humphreya z Minnesoty, który był jego kolegą w Senacie od chwili, gdy obaj zostali wybrani do Senatu w 1948 r. (Johnson zajmował Humphreya bardzo zajęтым, ale przez krótki czas na uwięzi. Kiedy Winston Churchill zmarł w 1965 r., Johnson nie mógł uczestniczyć w pogrzebie z powodu choroby. Nie wystąpił jednak w jego miejsce Humphreya z powodów, których nigdy nie podał do wiadomości publicznej.) W międzyczasie Republikanie nominowali konserwatywnego senatora Barry'ego Goldwatera z Arizony, który odsuwając na bok liberalne, internacjonalistyczne, wschodnie skrzydło partii, której przywódcami był gubernator Nelson A. Rockefeller z Nowego Jorku. Goldwater, jeden z zaledwie sześciu Republikanów, którzy głosowali przeciwko ustawie o prawach obywatelskich, miał nadzieję wygrać wybory, zbierając poparcie na Południu i Zachodzie oraz zapewniając narodowi, jak to określił, „wybór, a nie echo.” Kiedy wschodni Republikanie próbowali potępić konserwatywnych ekstremistów w partii – zwłaszcza Towarzystwo Johna Bircha – Goldwater zapewnił innych Republikanów w swoim przemówieniu, że „ekstremizm w obronie wolności nie jest wadą!”. Alarm umiarkowanych był ogromny. spotęgowało się, gdy Goldwater powiedział reporterowi, że gdyby mógł, „zrzuciłby bombę atomową o małej mocy na chińskie linie zaopatrzenia w Wietnamie”. Johnson prowadził kampanię jako doświadczony człowiek, na którego można było liczyć w powściągliwości i osądzie w sprawach wojskowych. Nie wydawało się to niczym niezwykłym, kiedy w lipcu do Wietnamu wysłano pięćset dodatkowych żołnierzy – tak zwanych dviserów – ponieważ prezydenci Eisenhower i Kennedy już stopniowo zwiększali tam amerykańską obecność wojskową. Wydaje się, że opinia publiczna nie przejęła się tym, gdy 2 i 4 sierpnia w niejasnych okolicznościach północnowietnamskie łodzie torpedowe rzekomo zaatakowały amerykańskie niszczyciele w Zatoce Tonkin w pobliżu wybrzeża Wietnamu Północnego. W odwecie Johnson zarządził masowe ataki powietrzne na cele w Wietnamie Północnym. Co więcej, w dniu 7 sierpnia uzyskał uchwałę Kongresu – odtąd znaną jako uchwała w Zatoce Tonkińskiej – wspierającą prezydenta we wszelkich działaniach, które uzna za konieczne, „aby odeprzeć wszelki atak zbrojny na siły Stanów Zjednoczonych” i zapobieżenia dalszej agresji” w Azji Południowo-Wschodniej. Przypominała ona uchwałę wydaną przez Kongres Eisenhowerowi w 1958 r., kiedy wysyłał on żołnierzy piechoty morskiej do Libanu, a jej przyjęcie spotkało się z powszechną aprobatą w całym kraju. Johnson miał poparcie średniego sektora amerykańskich nastrojów politycznych, któremu zależało zarówno na uniknięciu konfrontacji nuklearnej, jak i pozostawieniu bez zmian głównych reform wewnętrznych, do których ludzie byli przyzwyczajeni. Szerokie ataki Goldwatera na ustawę o ubezpieczeniach społecznych, władze Tennessee Valley i stopniowany podatek dochodowy wypadły Johnsonowi na korzyść.

Prezydent mógł sprawiać wrażenie solidnego człowieka, kontynuującego w stosunkach międzynarodowych sprawdzoną politykę z lat Trumana, Eisenhowera i Kennedy'ego. Pokazał, że jest wierny tradycji Nowego Ładu, stawiając Humphreya na liście. Pokazał, że jest kandydatem do pokoju, mówiąc o szybko zaostrażającym się konflikcie w Wietnamie: „Nie mamy zamiaru wysłać amerykańskich chłopców dziewięć czy dziesięć tysięcy mil od domu, aby robili to, co powinni robić azjatyccy chłopcy”. , gdzie Republikanie mówili o Goldwaterze: „W głębi serca wiesz, że ma rację”, Demokraci odpowiadali: „W głębi serca wiesz, że mogłby to zrobić”. W przeciwieństwie do swojego przeciwnika, na Johnsona można było liczyć, w całym kraju zapewniono, że nie naciśnie przycisku, który mógłby rozpocząć wojnę nuklearną. Bezwstydny sposób, w jaki Goldwater określił Związek Radziecki jako „wroga”, zaniepokoił także wielu wyborców, którzy doszli do wniosku, że Goldwater uważał otwartą wojnę z Sowietami za nieuniknioną. W sprawach domowych Johnson wydawał się czarodziejem. Po niezłomnym poparciu i nacisku na Kongres na początku 1964 r. propozycji Kennedy'ego dotyczącej obniżki podatków o wartości 80 miliardów dolarów, pomimo złych przewidywań ludzi biznesu z prawdopodobnym skutkiem był rozkwit działalności gospodarczej. Wszystkie zwykłe wskaźniki – wydatki konsumenckie, produkt narodowy brutto i wpływy z podatków federalnych – pokazały sukces przewidywany przez Demokratów. Johnson odebrał wyniki wyborów w hotelu Driskill w Austin. W gronie najbliższych przyjaciół cieszył się największym zwycięstwem ludu w historii Ameryki. Z 43 milionami głosów wyprzedził Goldwatera o 16 milionów, przenosząc 44 stany, tracąc jedynie Arizonę i 5 stanów Głębokiego Południa. Ogromny triumf zmienił politykę Ameryki, dając Johnsonowi, jak to określił, „mandat jedności”. Na jego potach jechały do zwycięstwa setki kandydatów Demokratów na niższe stanowiska w całym kraju. W Izbie Reprezentantów Republikanie stracili 37 mandatów, dając Demokratom 295 miejsc na rzecz Republikanów 140. Dwa mandaty zdobyte przez Demokratów w Senacie zwiększyły przewagę Demokratów, zwiększając ją do 68 do 32. Naród widział, że jednym ze skutków anemicznej kandydatury Goldwatera było otwarcie drogi dla rozszerzenia programów Wielkiego Społeczeństwa. Johnson nie będzie musiał znosić przeciągania liny z Kapitołem, jaki przypadł Kennedy'emu.

Polityka konsensusu

Wyborcy Demokratów uważali, że Johnson zasłużył na poparciu, jakie otrzymał dzięki zręczności, jaką wykazał się cztery lata wcześniej powiększając elektorat Kennedy'ego. Co więcej, tuż po zamachu, zwycięstwo mogło ujawnić wolę wyborców, aby tak szybko nie doszło do kolejnej zmiany prezydenta. Johnson uznał swój triumf za oznaczający, że ma czek in blanco na realizację szeroko zakrojonego programu legislacji socjalnej. Prezydent zakończył szczęśliwie, że jedność narodowa, o którą prosił w smutnych dniach listopada 1963 r., została osiągnięta. Celem Johnsona jako prezydenta było osiągnięcie konsensusu — zajęcie wspólnej płaszczyzny, na której mogliby stanąć zarówno ogół obywateli, jak i Kongres z nim. Jedno z jego ulubionych powiedzeń: „Przyjdźcie, porozmawiajmy razem” stało się wezwaniem pod jego sztandarem. Jako lider Senatu dał już poznać swoje zamiłowanie do rządów konsensusowych, nawet ponad podziałami partyjnymi, w ramach bliskich stosunków roboczych, jakie nawiązał z prezydentem Eisenhowerem. Teraz będzie polegał na sile i wpływie własnej osobowości, a nie na samej Partii Demokratycznej. Jego umiejętność przekonywania w stosunku do niegdysiejszych kolegów na Kapitolu, często obejmująca psychologiczne wykręcanie ramion, które dawno temu określano jako „leczenie Johnsona”, stała się teraz cechą relacji między władzą wykonawczą i ustawodawczą. Już pierwszy rok urzędowania Johnsona pokazał, że jest także mistrzem w autoreklamie. Niezależnie od tego, czy organizował konferencje prasowe, spacerował z psami po trawniku Białego Domu, czy witał nowo mianowanych z wystawnymi fanfarami, był stałym elementem ekranu telewizora. Zdjęcie przedstawiające go obnażającego nową bliznę pooperacyjną (usunięto mu pęcherzyk żółciowy) wielu osobom wydawał się niegodny, choć dla niezliczonej liczby innych sprawiał wrażenie przyziemnego człowieka. Początkowo był niepewnym wykonawcą przed kamerą telewizyjną,

dziś niezbędnym narzędziem polityki, ale mimo to dawał obraz siły. Miał poczucie, że gołymi rękami jest w stanie uchwycić problemy kraju i je ujarzmić. Inauguracja 20 stycznia 1965 r. była sama w sobie symbolem narodowego konsensusu. Johnson, pierwszy prezydent wybrany z Południa od czasu Zachary'ego Taylora w 1848 r., otrzymał serenadę Mormonów Chóru Tabernakulum, śpiewając „Hymn bojowy Republiki”. Jego przemówienie inauguracyjne było donośnym wezwaniem do jedności narodowej i szlachetnych czynów wyrażonych niemal w każdym języku biblijny. Prezydent oświadczył, że „przysięga, którą złożyłem przed wami i przed Bogiem, nie jest moją wyłączną, ale naszą wspólną sprawą”. A w retoryce, która przywołała na myśl Franklina Roosevelta, stwierdził: „Każde pokolenie ma przeznaczenie. Dla niektórych decyduje historia. Dla tego pokolenia wybór musi należeć do nas”. Przeznaczeniem było wypełnienie amerykańskiego „przymierza z tą ziemią” – osiągnięcie sprawiedliwości, wolności i jedności. Mówiąc o trudach i łzach, jakie musi ponieść każde pokolenie, bezwstydnie powtórzył słowa Winstona Churchilla. Zdanie, które przywodziło na myśl żarliwe wezwanie Kennedy'ego cztery lata wcześniej do obrony wolności wszędzie tam, gdzie była ona zagrożona, wkrótce okazało się prorocze: „Jeśli życie Amerykanów musi się zakończyć, a amerykański skarb rozsypać się w krajach, które ledwo znamy, to to cena, jakiej wymagała zmiana za przekonanie i nasze trwałe przymierze”. Nowy Kongres był wkrótce dostępny na każde zawołanie Johnsona. Utworzył dwa nowe stanowiska w rządzie: Departament Mieszkalnictwa i Rozwoju Miast, do którego Johnson mianował Roberta C. Weavera, pierwszego czarnego na tym stanowisku, oraz Departament Transportu. Johnson wkrótce mianował pierwszego czarnego radcę prawnego, Thurgooda Marshalla (i wyniósł go do Sądu Najwyższego w 1967 r.). Specjalne przesłania, które Johnson wysłał na Kapitol, zaczęły zalewać prawodawców jeszcze przed inauguracją. W dniu 7 stycznia 1965 r. wezwał do Medicare, wspieranych przez władze federalne usług opieki zdrowotnej dla osób starszych oraz poprawy usług zdrowotnych dla dzieci, osób upośledzonych umysłowo i niepełnosprawnych; i nalegał na miliony dolarów na badania medyczne. Udał się do Independence w stanie Missouri, aby podpisać ustawę o Medicare w obecności byłego prezydenta Harry'ego Trumana, którego Johnson pozdrawiał jako prawdziwego przodka tej ustawy. Zanim Kongres zdążył złapać oddech, przesłał mu wartą miliard dolarów propozycję, która stała się Ustawą o edukacji z 1965 r., aby pomóc szkołom publicznym podstawowym i średnim, zapewnić programy przedszkolne dla małych dzieci, dotować biblioteki szkolne, finansować stypendia i pożyczki potrzebującym uczniom i zapewnić różnorodną pomoc małym uczelniom. Złożył swój podpis na rachunku w jednoklasowej szkole, do której uczęszczał jako chłopiec, niedaleko Stonewall w Teksasie. U jego boku siedziała „panna Katie”, jego pierwsza nauczycielka. Wkrótce prezydent naciskał na Kongres, aby przyjął nowelizację przepisów imigracyjnych, liberalizującą system kwot dotyczących pochodzenia narodowego. 3 października Johnson udał się do Statuy Wolności, aby podpisać ustawę. Tymczasem, zgodnie z ustawą o prawach wyborczych, zatwierdzoną przez Johnsona 6 sierpnia, federalni egzaminatorzy natychmiast zabrali się do pracy, usuwając przeszkody w rejestracji czarnych wyborców na Południu. Żadna dziedzina reform nie wydawała się poza zainteresowaniem i zasięgiem prezydenta, a jego zapał w dramatyzowaniu swoich obaw był nieograniczony. Zaangażowany w poprawę „jakości życia” Johnson poparł ustawodawstwo dotyczące upiększania autostrad, o które gorąco zabiegała Lady Bird Johnson. W dziedzinie sztuki Johnson założył Narodową Fundację Sztuki i Nauk Humanistycznych z szerokim programem bezprecedensowych zadań. Różnorodna lista przepisów, którymi kierowała się administracja, obejmowała ustawę o bezpieczeństwie drogowym oraz krajową ustawę o bezpieczeństwie ruchu drogowego i pojazdów silnikowych. Johnson zastrzegł szczególną powagę dla trwającej wojny z ubóstwem. Ustawa o rozwoju regionalnym Appalachów z 1965 r. upoważniła kwotę 1,1 miliarda dolarów na rewitalizację i rozwój regionu górskiego od Pensylwanii po Alabamę i Gruzję, który doświadczał poważnych trudności społecznych i gospodarczych. Dalekosiężna ustawa o mieszkalnictwie z 1965 r. umożliwiła budowę 240 000 lokali mieszkalnych o niskim czynszu i zapewniła dotacje w wysokości 3 miliardów dolarów na rewitalizację obszarów miejskich. W maju 1966 roku

Johnson zatwierdził ustawę o dodatkowych środkach, aby umożliwić subsydiowanie czynszów dla rodzin o niskich i średnich dochodach. Prezydent podpisując ustawę powiedział: „Chociaż dom każdego człowieka nie może być zamkiem, nie musi to być rudera”. Zgodnie z ustawą o miastach demonstracyjnych i rozwoju metropolitalnym z 1966 r. Johnson miał nadzieję, że nastąpi odbudowa na dużą skalę całościowe środowisko gospodarcze i społeczne pogrążonych w kryzysie społeczności miejskich. Prawo uznawało, powiedział, „że nasze miasta składają się z ludzi, a nie tylko cegieł i zaprawy murarskiej”. Osiemdziesiąty dziewiąty Kongres pod przewodnictwem Johnsona ukończył program liberalizmu zapoczątkowany pierwotnie przez Franklina D. Roosevelta. Mówca McCormack, który w latach trzydziestych XX wieku również kształtował swoje poglądy na temat roli rządu federalnego, podzielał entuzjazm Johnsona: „To Kongres spełnionych nadziei”. To Kongres zrealizowanych marzeń”. Johnson nigdy nie spotkał się z publicznym uznaniem za swoją pracę, na którą w jego mniemaniu zasłużył. W prywatnych pomieszczeniach Białego Domu umieścił na ścianie starą fotografię, na której stoi twarzą w twarz z Rooseveltem. Johnson podpisał to: „Słucham”. I bez wątpienia chodził do szkoły w FDR. Bliski doradca Johnsona, Bill Moyers, powiedział kiedyś, że dla Johnsona „Franklin Roosevelt” to książka, którą należy czytać i czytać ponownie. Teraz, jako prezydent reform, Johnson „przewyższył Roosevelta Roosevelta”, ale beneficjenci nie uczynili Johnsona swoim bohaterem tak, jak kiedyś deifikowali Roosevelta. W latach sześćdziesiątych Stany Zjednoczone stały się państwem opiekuńczym. Hojność rządu nie była już darem, ale obowiązkiem. Być może luźna atmosfera i ogólny dobrobyt panujący w czasach Eisenhowera uniemożliwiły ponowne rozbudzenie entuzjazmu dla reformującego się prezydenta. Być może także wielu Amerykanów postrzegало Johnsona jako budującego sobie pomnik, a także usuwającego problemy uprzemysłowionej Ameryki. Tam, gdzie kiedyś myślący ludzie mieli nadzieję stworzyć dobre społeczeństwo, Johnson zdecydował, że jego dziedzictwo dla narodu będzie wielkości Teksasu: Wielkie Społeczeństwo. Wzbudził nie tyle podziady, co niedowierzanie, zanieczyszczenie naparu nieśmiertelności. Liberalizm, za którym opowiadał się Johnson, wrył się w jego kości, więc nie widział, że jego czas może dobiegać końca. Od ojca, który nauczył młodego Lyndona, jak chwytać ludzi za rękę i służyć sprawie sprawiedliwości społecznej, otrzymał wzór i pewność siebie, aby działać i postępować podobnie. Kiedy Johnson z nosem prawie na ich czubku błagał szefów miast północnych i kumpli z południa, aby zajęli jego stanowisko w sprawie praw obywatelskich, weterani Teksasu mogli znów zobaczyć Sama Johnsona żywego. Od matki przyszły dyrektor naczelny nabył poczucie tego, co może o sobie zrobić. Nawet w najbardziej buntowniczych czasach, gdy był destrukcyjnym i czasami brutalnym młodzieńcem, Johnson musiał mieć przed oczami obraz lepszego młodego mężczyzny, który pewnego dnia zadowoli swoją matkę. Później powiedział, że nigdy w swojej karierze nie podjął żadnej ważnej decyzji bez konsultacji z nią. Nietrudno zgadnąć, że kiedy Johnson powiedział, że pragnie, aby go zapamiętano jako „prezesa ds. edukacji”, poczuł wpływ swojej matki, która każdego ranka towarzyszyła mu przed główną bramą ich domu, przeglądając z nim treści jego codziennych zajęć. Wreszcie Johnson został odcisnięty przez modele, które sam stworzył, wziął dla siebie spośród zamożnych hodowców bydła i naftowców, których podziwiał i których zazdrościł. Mieli tendencję do patrzenia na świat przez czerwono-biało-niebieskie okulary i uważali się fizyczną za ostatecznego arbitra w sporach. Co więcej, kowbojska tradycja fikcji i faktów z Teksasu odcisnęła piętno na Johnsonie. Wzmocniło to jego determinację, by walczyć o to, co słuszne i szybko wygrywać. W kraju uzależnionym od telewizji osobowość Johnsona stała się przedmiotem publicznej analizy. Jego skłonność do tajnych przyznań i niepotrzebnego odmawiania ujawnienia ręki, co czasami mogło wydawać się konspiracyjne, drażniła współpracowników, a po wejściu do Białego Domu także przedstawicieli mediów. Wielu z nich zaczęło dostrzegać „lukę w wiarygodności” pomiędzy prawdą a niektórymi wypowiedziami Białego Domu. Nawyk ukrywania zniweczył nadzieję Johnsona na bycie kochanym przez ludzi. Gorliwa serdeczność, z jaką obejmował innych, udając, że nabiera ich zaufania, mogła być oznaką jego świadomości, że tak naprawdę nie był w zamian kochany, chociaż to zachowanie mogło być uwydatnione przez jego znaczną głuchotę, do której nigdy nie przyznał się publicznie. Co

więcej, był w stanie z wdziękiem wycofać siły amerykańskie, gdy wkroczyły wojska OAS. Mimo to stracił część wiarygodności, próbując uzasadnić podjęte kroki. Dwa dni po wysłaniu wojsk wyjaśnił swoje działania, twierdząc, że „ludzie przeszkoleni poza Republiką Dominikany starają się przejąć kontrolę”. 2 maja zidentyfikował przyczynę zamieszek jako „bandę komunistycznych spiskowców”. W prywatnej rozmowie Johnson stwierdził, że „wyleczyliśmy 5641 osób z czterdziestu sześciu krajów – nawet bez skręcenia kostki...”. . . Gdybym nie zadziałał, Castro miałby ich wszystkich.” Niektórzy Amerykanie byli skłonni zgodzić się z oceną Boscha: „To była demokratyczna rewolucja stłumiona przez wiodącą demokrację świata”. Johnson działał zgodnie ze swoim przekonaniem. to „ostatnia rzecz, której chciał naród amerykański”. . . to była kolejna Kuba na wyciągnięcie ręki”. Pod rządami Johnsona stosunki ze Związkiem Radzieckim wydawały się mniej groźne niż te z Chińską Republiką Ludową, choć sam Johnson nie bał się Chin. W 1967 roku powiedział: „Dlaczego Chińczycy mieliby chcieć przeciwstawić się Stanom Zjednoczonym Ameryki?” . . . To byłoby jak jedenastoletnia kolorowa dziewczyna z Tennessee walcząca z Jackiem Dempseyem.” I dodał: „Jednym ze sposobów uniknięcia [wojny z Chinami] jest zaprzestanie mówienia o tym.” Ponury pogląd Johnsona na temat stosunki Sowietów prawdopodobnie zostały zmodyfikowane przez serdeczne spotkanie, które odbył w Glassboro w stanie New Jersey z premierem Aleksiejem Kosyginem w czerwcu 1967 r., co mogło przyspieszyć postęp w traktacie o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej, do którego dążył prezydent.

Wietnam: Uwikłany Sojusz

Pomimo ludowego sposobu bycia i intonacji, które niektórzy Amerykanie uznali za dowód, że jest tylko mieszkańcem regionu, Johnson wiedział, że za Pedernales istnieje zupełnie inny świat, pełen zdradzieckich zagrożeń. Przeczuwał też, że jego miejsce w historii może ostatecznie zależeć od tego, jak będzie zarządzał sprawami zagranicznymi. Nie czytał historii, ale uważnie obserwował poczynania swoich poprzedników i miał słońią pamięć do ich błędów, zwłaszcza tych, które były politycznie kosztowne. Widział, jak doświadczenie Trumana związane z „utrata” Chin prześladowało mieszkańców stanu Missouri do końca jego administracji. Zastanawiał się, jaką frustrację wywołało dojście Castro do władzy w administracjach Eisenhowera i Kennedy’ego. Co więcej, Johnson doskonale pamiętał – a szczegóły miał stale na końcu języka – wysiłki Franklina Roosevelta i jego ludzi, aby przełamać falę izolacjonizmu pod koniec lat trzydziestych i na początku czterdziestych XX wieku. Dla Johnsona to doświadczenie było jak zapamiętany czas terroru, którego nie chciał przeżywać ponownie. Zdecydowane kroki, takie jak te, które podjął na Dominikanie, pomogłyby temu zapobiec. Związali się z wojną w Wietnamie, gdy 4 maja 1965 r. zwrócił się do Kongresu o kwotę 700 milionów dolarów w postaci dodatkowych środków wojskowych dla obu przedsięwzięć. Sytuacja w Wietnamie była bombą zegarową w administracji. Odziedziczona po Kennedym i Eisenhowerze, podobnie jak większość problemów, przed którymi stanął Johnson, stopniowo stała się przytłaczającą siłą. W czasie kampanii 1964 r. zaczęła wysuwać się w centrum uwagi opinii publicznej. Od lat pełzał powoli w górę. W czasie zabójstwa Kennedy’ego w Wietnamie stacjonowało ponad szesnaście tysięcy Amerykanów, a niebezpieczeństwo głębszego zaangażowania wzrosło, gdy korupcja i niekompetencja południowowietnamskiego rządu Ngo Dinh Diem zaczęła wywoływać powszechne niepokoje. Sam Johnson odwiedził Wietnam Południowy jako wiceprezydent i na własne oczy widział, jak bardzo tam już przywiązany był amerykański prestiż. Jednak ledwie został prezydentem, prywatnie mówił swoim powiernikom (co wiemy teraz z nagrań rozmów telefonicznych): „Nie sądzę, że warto o to walczyć”. Johnson niemniej jednak miał zostać „prezydentem Wietnamu, „Niezdolny do wygrania wojny, tak jak ją rozumiał, musiał być stoczony i niezdolny do wyzwolenia Stanów Zjednoczonych na warunkach, które uważał za akceptowalne. Mimo to był zdeterminowany: „Nie będę prezydentem, który widział, jak Azja Południowo-Wschodnia poszła drogą Chin”. Ledwo zdążył się osiąść na stanowisku w 1965 r., Johnson 6 lutego stawił czoła atakowi Vietcongu na amerykańskie koszary w Pleiku. Dwa dni przed wyborami kosztowny atak na amerykańską placówkę w Bien Hoa pozostał bez odpowiedzi. Teraz

amerykańskie bombowce B-52 zaatakowały Wietnam Północny, co było początkiem operacji Rolling Thunder, programu stopniowo wzmaganych ataków powietrznych. Johnson nakazał ewakuację amerykańskich osób na utrzymaniu z Sajgonu. Jednocześnie wzmocniono amerykańską obecność wojskową w Wietnamie. Na konferencji prasowej w dniu 27 kwietnia Johnson przedstawił sprawę tak, jak ją widział. Oświadczył, że Stany Zjednoczone są „zaangażowane w kluczową kwestię w Wietnamie...”. Klęska w Wietnamie Południowym wystawiłaby przyjazny naród na terror i represje. Byłoby to zachętą i zachętą dla tych, którzy pragną podbić wszystkie wolne narody, które są w ich zasięgu”. „Teoria domina” epoki Eisenhowera zyskała nowe wzmocnienie. Gdyby Wietnamowi Północnemu udało się przejąć Wietnam Południowy, stwierdził prezydent, „nasz dobrobyt i nasza wolność byłyby zagrożone”. Dodał: „To najjaśniejsza lekcja naszych czasów. Od Monachium do dziś nauczyliśmy się, że poddanie się agresji niesie tylko większe zagrożenia i przynosi jeszcze bardziej niszczycielską wojnę”. Był pewien, że „to ta sama bitwa, którą toczyliśmy od pokolenia”. Wstał. Jest gotowy, oświadczył, do podjęcia bezwarunkowych rozmów z Wietnamczykami Północnymi. Nawet gdy mówił tak stanowczo, trwał proces, który osłabił administrację Johnsona i stopniowo zwrócił naród przeciwko niemu w scenach okresowej przemocy bezprecedensowej w historii prezydentury. Od początku swojej prezydentury był udręczony swoją trudną sytuacją, prywatnie rozmyślając, że „kiedy wyląduję żołnierzy, nazywają mnie interwencjonistą [odnosząc się do jego ruchu na Dominikanie] i jeśli nic nie zrobię, zostaną postawiony w stan oskarżenia”. Zatem niepokojące narastanie w Wietnamie trwało nadal. W kwietniu 1965 r. w Wietnamie było 33 500 amerykańskich żołnierzy i marines; do końca czerwca było ich 75 000. Stopniowo poszerzano także misję żołnierzy z obrony statycznej, aby umożliwić patrolowanie terenów wiejskich. Nawet w miarę jak rosło zaangażowanie wojsk amerykańskich, Johnson miał poważne wątpliwości co do kursu, na jaki obrał kraj. Z niepokojem zapytał byłego prezydenta Eisenhowera: „[Czy] sądzisz, że naprawdę możemy zostać tam pokonani?”. I mówił do Lady Bird Johnson, swojej najbardziej zaufanej powierniczki: „W Wietnamie z każdym dniem jest coraz gorzej. Mam wybór: wejść z listą wielkich ofiar lub wyjść z hańbą. To jak bycie w samolocie i muszę wybierać pomiędzy rozbiciem się w samolocie, a wyskoczeniem. Nie mam spadochronu”. W czerwcu siły amerykańskie przyjęły aktywną rolę przeciwko Vietcongowi w strefie na północny zachód od Sajgonu. Niemniej jednak żołnierzom polecono nie rozpoczynać działań ofensywnych. Co więcej, ataki powietrzne ograniczyły się do celów nieprzemysłowych w pewnej odległości od Hanoi, stolicy Wietnamu Północnego, i Hajfongu, jego głównego portu. W lipcu sytuacja militarna w Wietnamie Południowym wyraźnie się pogorszyła. Rząd był bardziej chwiejny niż kiedykolwiek, a Vietcong naciskał na atak. 28 lipca prezydent zapowiedział natychmiastowe wysłanie do strefy działań wojennych kolejnych 50 000 Amerykanów. I patrzył dalej w przyszłość: „Później potrzebne będą dodatkowe siły i zostaną wysłane zgodnie z żądaniem”. Johnson ponownie wspominał o stawce: „Jeśli zostaniemy wypędzeni z pola w Wietnamie, to nie naród nie może już nigdy mieć takiego samego zaufania do amerykańskich obietnic i amerykańskiej ochrony.” Pod koniec 1965 roku w Wietnamie było prawie 185 000 umundurowanych Amerykanów, a końca nie było widać. Co więcej, wojna rozprzestrzeniła się poza Wietnam. Stany Zjednoczone mogły w razie potrzeby podjąć działania w Kambodży, aby chronić wojska amerykańskie w Wietnamie Południowym. Nasilały się bombardowania dróg infiltracyjnych w Laosie. A bombardowanie szlaku Ho Chi Minha prowadzącego z Wietnamu Północnego wzbudziło widmo możliwej chińskiej interwencji w wojnę. Johnson i jego bliscy nie byli w stanie określić, czym będzie zwycięstwo, i byli przerażeni „kolejną Koreą” – wojną o niezdecydowanym wyniku. Zamiast zwycięstwa woleli sformułowanie korzystne porozumienie – zdefiniowane przez Sekretarza Obrony Roberta S. McNamare jako mające miejsce, gdy Wietnamczycy Północni przestali podsycać „ogień działalności wywrotowej i agresji w Wietnamie Południowym”, tak aby Wietnam Południowy mógł stopniowo rozwinąć swoją kontrolę i kształtować wynik”. Prezydent w dalszym ciągu używał słów wygrana i przegrana. Do początku 1968 r. wierzył w to, co mówił w połowie 1965 r.: „Wiem, że wygrywa druga strona; więc oni też to robią. Nikt nie chce handlować, kiedy wygrywa”. Doszedł więc do wniosku, że

Stany Zjednoczone będą musiały „zastosować maksymalny środek odstraszający, dopóki [wróg] nie wytrzeźwieje i nie wyładuje pistoletu”. Johnson upierał się w błędnym przekonaniu, że Ho Chi Minh, przywódca Wietnamu Północnego, podobnie jak większość innych polityków, prędzej czy później był gotowy na zawarcie porozumienia. W okresie Bożego Narodzenia 1965 roku prezydent przeprowadził ogólnowiatową akcję – „ofensywę pokojową Johnsona” – mającą na celu rozpoczęcie negocjacji. Wiceprezydent Hubert Humphrey pojechał do New Delhi na spotkanie z premierem ZSRR Kosyginem; Ambasador przy ONZ Arthur Goldberg złożył wizytę papieżowi Pawłowi VI, prezydentowi Francji Charlesowi de Gaulle'owi i premierowi Wielkiej Brytanii Haroldowi Wilsonowi; i sekretarz stanu Dean Rusk rozmawiali w Sajgonie z urzędnikami z Wietnamu Południowego. Doświadczony specjalista rozwiązywania problemów dyplomatycznych Averell Harriman udał się za żelazną kurtynę, aby przedstawić stanowisko administracji wyższym urzędnikom w Warszawie i Belgradzie. Poważnie wykorzystano także dobre usługi U Thanta, sekretarza generalnego Organizacji Narodów Zjednoczonych. Ofensywa pokojowa, rozpoczęta dramatycznym i dobrze nagłośnionym wstrzymaniem bombardowań Północy, zakończyła się po trzydziestu siedmiu dniach 31 stycznia 1966 r. – co oznacza całkowitą porażkę.

Protest w domu

Wojna zaczęła zagrażać cenionemu konsensusowi Johnsona. Pierwszym sygnałem były głosy senatorów Ernesta Grueninga z Alaski i Wayne'a Morse'a z Oregonu przeciwko rezolucji w Zatoce Tonkin. Jednak w 1965 roku inni czołowi senatorzy przeszli do opozycji. Dwóch z najbardziej znanych to William F. Fulbright z Arkansas i Eugene McCarthy z Minnesoty. Fulbright, który był przeciwny wznowieniu bombardowań po tymczasowej przerwie, wyraził obawę przed „coraz większą eskalacją walk”. Morse, najbardziej zjadliwy z krytyków, odważnie i ze złością przepowiedział, że naród amerykański „wyrzeknie się naszej wojny w Azji Południowo-Wschodniej”. Reakcja Johnsona była coraz bardziej zaciekła i wroga. Uważał, że Amerykanie są po prostu podzieleni „między ludźmi, których trzeba zabić i uciekać, a ludźmi patriotami”. Z głębokim sarkazmem powiedział o swoich krytykach: „Mają prawdziwe wyczucie niebezpieczeństwa...”. . Widzą pożar i zakręcają wąż, bo najważniejsze jest, abyśmy nie marnowali wody.” Mając na uwadze sprzeciw Fulbrighta wobec ruchu na rzecz praw obywatelskich, Johnson dosadnie wyjaśnił sprzeciw senatora wobec wojny jako rasistowski, twierdząc, że senator z Arkansas „nie może zrozumieć, że ludzie o brązowej skórze również cenią wolność”. Johnson nigdy nie zaakceptował szeroko rozpowszechnionego poglądu „gołębi” Demokratów (przeciwników wojny), że konflikt był wojną domową i że Vietcong wygrał lojalność większości Wietnamczyków Południowych jeszcze zanim Wietnamczycy Północni rozpoczęli infiltrację na dużą skalę. Podczas gdy Johnson i jego ludzie upierali się, że Chiny to lalkarz manipulujący atakiem na Wietnam Południowy, gołębie szydziły, utrzymując, że jeśli Stany Zjednoczone się powstrzymają i nie zmuszą Wietnamu Północnego do szukania chińskiej pomocy, może wyewoluować niezależny komunistyczny Wietnam. Gołębie odrzuciły także nalegania Johnsona, jakoby Stany Zjednoczone miały uroczysty obowiązek działania zgodnie z postanowieniami Organizacji Traktatu Azji Południowo-Wschodniej (SEATO). Johnson był nieugięty i starał się podkreślić, że Mike Mansfield z Montany, który zastąpił go na stanowisku przywódcy większości w Senacie i był coraz bardziej przeciwny wojnie, był sygnatariuszem traktatu ustanawiającego SEATO. Poważną ucieczką od falangi zwolenników Wielkiego Towarzystwa było to, że wielbny Martin Luther King Jr. King doszedł do wniosku, że prowadzenie wojny ma wyższy priorytet niż obiecane rozszerzenie praw obywatelskich. Johnson pozostał jednak nieugięty, co wiązało się z coraz większym kosztem spokoju narodu i podstawy władzy, która doprowadziła go do niedawnego zwycięstwa wyborczego. Pod koniec 1966 roku dynamika programu Johnsona Great Society osłabła. Co gorsza, fala problemów wewnętrznych – inflacja, zaniżanie cen i narastające strajki – narastała, głównie z powodu wojny w Wietnamie. Jednak problemów nie można było rozwiązać, dopóki wojna się nie skończyła. Poza tym Johnson, rozszerzając wojnę bez wzywania

do publicznych poświęceń, w dalszym ciągu zachowywał się tak, jak gdyby kraj mógł mieć „zarówno broń, jak i masło”. Sytuacja wymagała cię wydatków krajowych lub podwyższenia podatków, ale Johnson był nie chcąc się złamać aby zwiększyć swoją ogromną większość w Kongresie, prosząc o jedno i drugie. Wojna powietrzna w Wietnamie najwyraźniej nie przyniosła oczekiwanych rezultatów. Johnson, coraz bardziej drażliwy, był nawet rozczarowany Połączonymi Szefami Sztabów, z których przewodniczącym, generałem Earle G. Wheelerem, również ofiarą chorób serca, czuł się spokrewniony. „Bomba, bomba, bomba, to wszystko, co wiesz” – Johnson kilkakrotnie narzekał z frustracją. Operacje wyszukiwania i niszczenia żołnierzy pod dowództwem generała Williama C. Westmorelanda, amerykańskiego dowódcy w Wietnamie, nie wydawały się obciążać siły roboczej wroga. „Westy” liczył obecnie w Wietnamie prawie 500 000 ludzi, ponad 3000 helikopterów, 28 taktycznych myśliwców bombardujących i dużą liczbę gigantycznych bombowców B-52. Krajobraz Wietnamu był tak mocno podziurawiony atakami powietrznymi, że doświadczeni piloci mogli dolecieć do celów, podążając za lejami po bombach, których układ był im znany. Na początku sierpnia 1967 roku Johnson sformalizował generałom swoją odpowiedź na ich ostatnią prośbę o wysłanie żołnierzy – o dodatkowe 100 000 żołnierzy. Pozwoliłby im na 45 000 żołnierzy i w ten sposób do połowy 1968 r. zwiększyłby liczebność sił w Wietnamie do 525 000. Wiedział jednak, że postęp w wojnie nie następuje. Zapytał Westmorelanda: „Kiedy dodamy dywizje, czy wróg nie może dodać dywizji?” Jeśli tak, to gdzie to się wszystko skończy?”. Rozszerzanie wojny poprzez powołanie rezerw wydawało się wykluczone. Liczba ofiar śmiertelnych w Ameryce rosła: pod koniec 1967 roku zbliżała się do 500 tygodniowo. Koszt wojny w 1967 r. wyniósł 25 miliardów dolarów, co napędzało długi cykl inflacji. Co więcej, wiadomości telewizyjne po raz pierwszy w historii Ameryki regularnie przenosiły pole bitwy do salonu. Miliony ludzi były zbulwersowane użyciem napalmu wobec mieszkańców wsi, którzy wydawali się niewinnymi ofiarami sił, których nie mogli pojąć. W oczach świata Stany Zjednoczone były Goliatem bezlitośnie bijącym Dawida. Wojna znacząco zmieniła opinię publiczną na temat Johnsona. Kiedyś postrzegany jako magik polityczny doskonale panujący nad ludźmi i okolicznościami, teraz sprawiał wrażenie nękanego wydarzeniami, na które nie miał wpływu i nie był w stanie tego zrozumieć. Jego osławiona zdolność do wykańczania młodych pomocników została spotęgowana przez wściekłość związaną z jakąkolwiek formą sprzeciwu w szeregach. A ludzie widzieli prezydenta, który ze znużeniem zmagał się z polityką problemów narodu, a nie z samymi problemami. Jego złość, czasami połączona z nieszczerością, sprawiała, że jego osobowość publiczna była nieatrakcyjna dla wielu Amerykanów. Uniemożliwiło to Johnsonowi zdobycie sympatii opinii publicznej, jaką tradycyjnie cieszy się obelżony prezydent, taką jaką otrzymał Kennedy po fiasku w Zatoce Świń. Nawet Lincoln w najmroczniejszych dniach wojny secesyjnej nie spotkał się z tak intensywnym sprzeciwem i publicznymi wątpliwościami co do sposobu jego działania. Sprzeciw wobec wojny w Wietnamie najmocniej wyrazili studenci. Jedną z ich pierwszych reakcji było wprowadzenie metody nauczania – godzinnych dyskusji na temat wojny z wieloma uczestnikami – z których pierwsza odbyła się na kampusie Uniwersytetu Michigan 24 marca 1965 r. – jednodniowej szkoły moratorium, podczas którego profesorowie zamiast prowadzić regularne wykłady, wypowiadali się na temat wojny. Nauczanie stało się znane w całym kraju. Co więcej, dawało to studentom szansę na wylanie innych skarg: przeciwko Korpusowi Szkolenia Oficerów Rezerwy (ROTC), akademickiemu wsparciu pracy naukowej na potrzeby obronności, wykluczeniu studentów z podejmowania decyzji w uczelni oraz mieszanecze rzeczywiście i wymagowane podrażnienia. Publiczne demonstracje, które mogły być ważnym bodźcem do poboru do ruchu oporu, zdawały się łączyć z powstaniem znanym jako ruch młodzieżowy. Johnson, który nigdy nie stracił nadziei, że zostanie zapamiętany jako przyjaciel edukacji, był publicznie wyśmiewany na wiecach studenckich, często za pomocą ostrego refrenu: „Hej, hej, LBJ, ile dzieci dzisiaj zabiłeś?” Jednocześnie stosunki Johnsona ze społecznością czarnoskórych zauważalnie się ochłodziły. W pewnym stopniu niezadowolenie wynikało z niepopularnej wojny, która obejmowała zniszczenie ziemi zamieszkałej przez ludzi kolorowych, ale wyrosło także z wyobcowania od ogólnie zamożnego społeczeństwa

Czarnych, którzy nie mieli udziału w nagrodę oraz naturalną ewolucję ruchu na rzecz praw obywatelskich od wezwania do integracji do żądania „czarnej władzy”. W szczególności dzielnice kamienic i slumsów zajmowane przez biednych Czarnych na północy, obecnie nazywane gettami, zostały w szczególności charakteryzowane przez wysokim bezrobociem i podupadającymi szkołami. Jeszcze na początku kampanii prezydenckiej w 1964 r. w Nowym Jorku wybuchły zamieszki, które trwały pięć dni. W ciągu następnego kilku lat naród doświadczył „długich, gorących lat” – zamieszek i groźby zamieszek w dużych miastach. Dzielnica Watts w Los Angeles stanęła w płomieniach w 1965 r., a społeczności czarnych eksplodowały w Cleveland w 1966 r., w Newark i Detroit w 1967 r. oraz w Waszyngtonie w 1968 r. Niepokój związany z możliwą wojną rasową ogarnął wiele miast, gdy usłyszały słowa „Płoń, kochanie, płoń” – według doniesień było okrzykiem bojowym uczestników zamieszek. Naród zbierał wicher wynikający z długiego zaniedbania i obojętności na potrzeby czarnej biedoty. Ponieważ zniszczenia, w tym grabieże i ataki na białych policjantów, strażaków i członków Gwardii Narodowej, rozdzierają powietrze, łatwo było znaleźć kozła ofiarnego: Johnsona i jego wojnę w Wietnamie. Zarówno on, jak i walka w Azji stały się bardziej niepopularne niż kiedykolwiek. Odpowiedzią prezydenta było powołanie Narodowej Komisji Doradczej ds. Zaburzeń Obywatelskich, której przewodniczył gubernator stanu Illinois Otto D. Kerner. W raporcie dostarczonym prezydentowi 2 marca 1968 r. za kłopoty obwiniano biały rasizm. Oświadczyła, że kraj dzieli się na dwa społeczeństwa, jedno białe i jedno czarne – „oddzielne i nierówne”. Jej zalecenia obejmowały wezwanie do otwartych mieszkań i innych „masowych” programów. Johnson pochwalił raport, ale też go to zaniepokoiło, ponieważ powiedział: „Zawsze drukują, że nie robimy wystarczająco dużo. Nie drukują tego, co robimy”. Johnson poczuł się dotknięty: na zaprojektowaną przez niego wojnę z ubóstwem w latach 1964–1967 pochłonięto ponad 6 miliardów dolarów, a bieda nie zniknęła. Rzeczywiście istniały obszerne dowody na powszechne niedożywienie, a nawet głód w kraju. Nowe dowody ujrzaly światło dzienne w chwili, gdy Sekretarz Obrony Robert McNamara ogłosił, że proponuje nowy system obrony przeciwrakietowej, który będzie kosztował 5 miliardów dolarów. Johnson stał się teraz obiektem nowego oskarżenia, że nie jest już w stanie rozemnać prawdziwych priorytetów narodu. Wielu Amerykanów upierało się, że można wyeliminować biedę, jeśli pieniądze wydawane na wojnę zostaną skierowane na front wewnętrzny. W październiku 1967 roku do Waszyngtonu dotarł masowy protest grupy nazywającej siebie Mobilizacją Narodową na rzecz Zakończenia Wojny w Wietnamie. Administracja była rozdarta: czy powinna ogłosić nowe zaprzestanie bombardowań, aby zadowolić rosnącą opozycję w kraju, czy też zintensyfikować wojnę, aby zadowolić „jastrzębie”, które chciały zdecydowanie uderzyć w Wietnam Północny? Przed końcem listopada sondaż opinii publicznej wykazał, że zaufanie do zarządzania wojną przez Johnsona spadło do 23 procent, co stanowi najniższy poziom w historii. Niemniej jednak od listopada do marca 1968 roku poparcie społeczne dla samego wysiłku wojennego utrzymywało się na poziomie około 45 procent. Prezydentowi i jego głównym rzecznikom z każdym tygodniem coraz trudniej było unikać skandujących protestujących, których wydawało się, że są wszędzie. Po raz pierwszy w historii prezydent był niemile widziany w miejscach publicznych w większości części kraju, co uczyniło go prawdziwym więźniem Białego Domu, „skulonym”, by użyć jednego z jego ulubionych wyrażenia. Pod koniec 1967 roku w ciągu czterech i pół dnia udał się do Australii, Tajlandii, Wietnamu i Pakistanu, wracając do Białego Domu w Wigilię Bożego Narodzenia po zatrzymaniu się na niespodziewanym spotkaniu z papieżem w Watykanie. Johnson po raz kolejny próbował udobruchać gołębie. Jednym ze sposobów było wyrażenie chęci przyjęcia przedstawicieli Vietcongu w dyskusjach na temat wojny w Organizacji Narodów Zjednoczonych. Natychmiastowym skutkiem było zerwanie stosunków z Wietnamem Południowym, gdzie prezydent Nguyen Van Thieu wyraził zimną złość na Waszyngton za to, że sprawiał wrażenie, że ma do czynienia z wrogiem. W swoim orędziu o stanie Unii z dnia 17 stycznia 1968 r. Johnson mógł zgłosić, że „Amerykanie są tak zamożni, jak kiedykolwiek w historii”. Mimo to odnotował nieład w kraju i dodał: „A jednak w kraju panuje pewien niepokój, zadawanie pytań.” Prywatnie prezydent był ponury i

przygnębiony. Do tej pory nawet McGeorge Bundy, który jako pierwszy specjalny asystent Johnsona do spraw bezpieczeństwa narodowego był architektem pierwszej fazy wojny, sprzeciwił się jej kontynuacji. Niezadowolenie narodu wdarło się do samego Białego Domu, kiedy 18 stycznia 1968 roku pani Johnson wydała lunch dla grupy białych i czarnych kobiet zaproszonych w celu omówienia przestępczości na ulicach. Jedną z gości, wybitna piosenkarka Eartha Kitt, wstała wkrótce po krótkim przemówieniu prezydenta, aby zapewnić, że młodzi ludzie buntują się i palą marihuanę z powodu wojny. „Chłopcy, których znam w całym kraju, uważają, że nie opłaca się być dobrym facetem. Uważają, że mając kartotekę [więzienną], nie muszą jechać do Wietnamu”. Johnson był wściekły z powodu tego, co uznał za obrazę prezydentury ogłoszonej w samym Białym Domu, oraz z powodu obszernych relacji z wydarzenie w prasie i telewizji.

Ostatnie dni

Polityczny świat Johnsona wkrótce popadł w ruinę. W listopadzie 1967 r. senator Eugene McCarthy ogłosił swój śmiały zamiar ubiegania się o nominację Demokratów na prezydenta w 1968 r. McCarthy był przeciwny nie tylko wojnie, ale także temu, co uważał za nadmierną władzę prezydentury pod rządami Johnsona. Przez krótki czas Johnson zakładał, że McCarthy był jedynie koniem tropiącym senatora Roberta Kennedy'ego z Nowego Jorku, co jeszcze bardziej go rozżościło. Przyszedł do głowy, że Kennedyowie uważają się za ludzi lepszych od niego. W marcu 1968 roku sekretarzem obrony został Clark Clifford, wieloletni nieformalny doradca Johnsona i powszechnie uważany za jastrzębia. Prezydent nie chciał, aby w jego gabinecie zasiadał kolejny wątpiący Thomas – jakim stał się McNamara. Niemniej jednak wydarzenia szybko przyćmiły tradycyjne kategorie. 23 stycznia USS Pueblo, statek do zbierania informacji wywiadowczych, został zajęty przez północnokoreańskie kanonierki podczas patrolu w pobliżu północnokoreańskiego portu Wonsan, a osiemdziesięciosobowa załoga została uwięziona. Prezydent, sprowokowany i zirytowany, powstrzymał się pomimo publicznego wołania o szybki odwet wojskowy. W odpowiedzi wezwał do czynnej służby piętnaście tysięcy rezerwistów sił powietrznych i marynarki wojennej oraz wydał rozkaz lotniskowcowi o napędzie atomowym Enterprise założenie stacji u wybrzeży Korei Południowej. Jego pragnieniem było zapewnienie, że pomimo wojny w Wietnamie nadal korzysta ze swobody działań wojennych. Po frustrujących negocjacjach załoga została uwolniona jedenaście miesięcy później, po tym jak Stany Zjednoczone przyznały się do winy za naruszenie koreańskich wód i przeprosiły. Najwyraźniej po wcześniejszym ustaleniu „zeznania” zostały odrzucone po zwolnieniu mężczyzn, ponieważ najwyraźniej zostały wywiezione ze Stanów Zjednoczonych pod przymusem. Tydzień po zajęciu Pueblo krytyczne wydarzenia zmieniły sytuację w Wietnamie. Podczas gdy Sajgon świętował Tet, księżycowy nowy rok, Vietcong przypuścił atak na miasto, w tym na ważne lotnisko Tan Son Nhut. W ciągu dwóch dni każde większe miasto i stolica prowincji w Wietnamie Południowym zostało zaatakowane. Generał Westmoreland powiedział, że spodziewano się skoordynowanego ataku, ale nie jego rozmiaru i niszczycielskiej siły. Zaskoczone siły Stanów Zjednoczonych i Wietnamu Południowego szybko się odzyskały. Jednak odzyskanie pięknej starej stolicy Hue, która zawierała wiele skarbów architektury, zajęło trzy tygodnie i były jednymi z najbardziej kosztownych walk tej wojny. Ostatecznie miasto legło w gruzach. Administracja upierała się, że stępując ofensywę Tet, odniosła zwycięstwo, ale społeczeństwo ogólnie postrzegało wynik bitwy jako porażkę. W rzeczywistości walka była wstępem do podjęcia w Waszyngtonie decyzji o zakończeniu wojny. Johnson nalegał na to na konferencji prasowej 2 lutego podstawowa strategia Stanów Zjednoczonych pozostanie niezmienną. W dużej mierze polegał na ocenie sytuacji militarnej dokonywanej przez swoich generałów. On i oni, zawsze pamiętając o decydującej porażce, jaką północnowietnamski generał Vo Nguyen Giap zadał Francuzom pod Dien Bien Phu w 1954 roku, byli zdecydowani, że podobna katastrofa nie spotka sił amerykańskich. Kiedy pod koniec 1967 roku oddziały północnowietnamskie oblegały garnizon morski i regularne oddziały południowowietnamskie w Khe Sanh w pobliżu granicy z Laosem, strach przed takim skutkiem

był ogromny. Johnson z niepokojem śledził zaciekle starcie w sali wojennej Białego Domu. Oblężone wojska – znacznie wzmocnione w odpowiedzi na rozkaz Johnsona, aby utrzymać się za wszelką cenę – zniosły oblężenie na początku kwietnia. Otrzymali najcięższe wsparcie powietrzne, jakie kiedykolwiek przyznano siłom lądowym. Johnson, chwilowo uspokojony doniesieniami o tych doniosłych bitwach, w dalszym ciągu gromadził poparcie w kraju. Osobiście pożegnał się nawet z kontyngentem żołnierzy pędzonym w strefę działań wojennych. Wojna wkraczała w nową fazę. Generał Wheeler, który po ofensywie Tet pospieszył do Wietnamu, wrócił z prośbą generała Westmorelanda o dodatkowe oddziały – 206 000 żołnierzy. Zebranie i wsparcie tak dużej liczby mężczyzn wymagałoby powołania rezerwistów i dodania 10 miliardów dolarów do budżetu federalnego. Johnson, pozornie świadomy teraz, że jego cel, jakim jest „kontynuowanie walki narodu z agresją w Azji Południowo-Wschodniej”, nie zostanie osiągnięty, poinstruował sekretarza Clifforda, aby dokładnie przestudiował prośbę Westmoreland. Clifford stał się instrumentem, dzięki któremu ostatecznie odwrócono politykę ciągłego rozszerzania amerykańskiej obecności w Wietnamie. W międzyczasie Johnson doszedł do wniosku, że dysponując siłą militarną Stanów Zjednoczonych w Wietnamie, Amerykanie nie będą w stanie, jak to ujął, „przybić szopa do ściany”. Rozwój sytuacji politycznej bez wątpienia, miały decydujący wpływ na nakłonienie Johnsona do ponownego rozważenia jego stanowiska w sprawie utrzymania obranego kursu. 12 marca McCarthy, którego osobiście pogardzał prezydent, zdobył 42 procent głosów w prawyborach w New Hampshire. Cztery dni później Robert Kennedy, niewątpliwie ośmielony zwycięstwem McCarthy’ego, również przystąpił do wyścigu o fotel prezydencki. Dla prezydenta decydujące były kolejne dwa tygodnie. Doszedł do pewnych wniosków, które ogłosił 31 marca w orędziu do narodu. Wstrzymywał bombardowanie Wietnamu Północnego w nadziei, że ten krok doprowadzi do pokoju, i zamierzał nadać większy niż kiedykolwiek priorytet zwiększeniu liczebności sił południowowietnamskich – czyli „wietnamizacji” wojny po raz kolejny – i zezwalał na niewielkie zwiększenie sił amerykańskich w Wietnamie. Na koniec swojego wystąpienia rzucił polityczną bombę: nie będzie kandydował do reelekcji. Oznajmił: „Doszedłem do wniosku, że nie powinienem pozwolić prezydenturze wtrącać się w podziały partyzanckie, które rozwijają się w tym roku politycznym”. W swoich wspomnieniach donosił później, że podjął decyzję już podczas składania przysięgi w styczniu 1965 r. że już nigdy więcej tego nie weźmie. Doszedł do wniosku, że jego zdrowie nie wytrzyma kary kolejnej kadencji. Johnson nie wspominał, że już sondaże opinii publicznej, które przez całą swoją prezydenturę uważnie śledził we wszystkich sprawach, wykazały, że w nadchodzących prawyborach w Wisconsin poniesie miazdzącą porażkę z rąk McCarthy’ego. Po tym ogłoszeniu sytuacja polityczna Johnsona na krótko się ożywiła, gdy Kongres przyjął jego propozycje dotyczące godziwych warunków mieszkaniowych (zawartych w Ustawie o prawach obywatelskich z 1968 r.), a także podwyżki podatków. Ale wkrótce jego prezydentura znów pogrążyła się w zastoju, ponieważ wydawało się, że rozmowy pokojowe prowadzą donikąd. W październiku jego kandydatura na głównego sędziego, zastępca sędziego Abe Fortasa, została odrzucona przez Senat. Było to pierwsze takie upokorzenie prezydenta od 1795 r., kiedy odrzucono nominację Waszyngtonu Johna Rutledge’a na drugiego głównego sędziego. Wydarzenie piętrzyło się za wydarzeniem. Martin Luther King Jr. został zamordowany 4 kwietnia. Zamieszki, które nastąpiły, spotęgowały konsternację narodu amerykańskiego z powodu złego stanu, do jakiego spadł porządek publiczny i morale. Dwa miesiące później w Los Angeles zamordowano Roberta Kennedy’ego. Kiedy w sierpniu w Chicago zebrała się Narodowa Konwencja Demokratów, aby wybrać kandydata na prezydenta wśród przemocy na ulicach, podczas gdy policja i antywojenni demonstranci walczyli ze sobą, partia wyznaczyła swój sztandar na wiceprezydenta Huberta Humphreya. Pozycja Johnsona w partii tak bardzo osłabła, że nawet nie pojawił się na konwencji. Humphrey, który czuł się osobiście głęboko zobowiązany wobec Johnsona, nie był w stanie wstrząsnąć albatrosem w stosunkach Johnsona z Wietnamczykami Północnymi, obecnie negocjującymi w Paryżu z amerykańskimi negocjatorami. Republikanie nominowali Richarda Nixona, który upierał się – nie precyzując, co ma na myśli – że „nowe przywództwo może zakończyć

wojnę na Pacyfiku i zaprowadzić pokój”. Ukoronowaniem rozczarowania lata 1968 była konieczność odwołania długo planowanej podróży Johnsona do Moskwy do rozmów w sprawie ograniczenia rakiet antybalistycznych. Wszyscy byli w gotowości, gdy 20 sierpnia, u szczytu burzliwej konwencji Demokratów, 200 000 żołnierzy Rosji i Układu Warszawskiego najechało Czechosłowację, aby stłumić ruch na rzecz liberalizacji społeczeństwa w tym kraju za żelazną kurtyną. Ratyfikacja proponowanego traktatu została odroczone. Prezydent sprawiał wrażenie uwięzionego w labiryncie bez wyjścia. Na emeryturze Johnson pracował nad swoimi planami w bibliotece prezydenckiej (poświęcona w maju 1971 r.) na terenie kampusu Uniwersytetu Teksasu w Austin. Poświęcał także czas na przygotowanie swoich wspomnień, opublikowanych pod tytułem *The Vantage Point: Perspectives of the Presidency, 1963–1969*. Tymczasem stan jego serca się pogorszył i coraz trudniej było mu się wysilać. Zaledwie kilka tygodni przed śmiercią 22 stycznia 1973 r. przewodniczył pamiętnemu sympozjum na temat praw obywatelskich w swojej bibliotece. Został pochowany na swoim ukochanym ranczu LBJ. Wojna pozostaje ciemną stroną księżycy Johnsona; Jasną stroną jest ustawodawstwo krajowe, w szczególności przepisy dotyczące praw obywatelskich, które pozostają jego pomnikiem. Gdy jego administracja dobiegała końca, Johnson musiał czuć się zdradzony przez historię i swoich bliskich współpracowników, których uważał za najwspanialsze dziedzictwo po Kennedym, a także starych przyjaciół, takich jak senator Fulbright, uszczypliwy przewodniczący Senackiej Komisji Spraw Zagranicznych. Cudowne nadzieje Johnsona związane z Ameryką nie miały się spełnić w jego czasach. Walka o prawa obywatelskie nie przeniosła się jeszcze całkowicie z ulic na sądy, choć pomimo płonących miast pod koniec lat sześćdziesiątych proces ten wyraźnie był w toku. Johnson rozumiał, że znalazł się w złym momencie historii. Chociaż jego marzenie o odbudowaniu życia potrzebujących i pokrzywdzonych oraz o tym, by zostać zapamiętanym na zawsze jako ich dobroczyńca, zostało zniszczone przez straszliwy rozlew krwi dziesięć tysięcy mil od domu, ideał ziemi bez biedy i podziałów rasowych pozostaje jego dziedzictwem dla Ameryki. Być może wyczuł to, gdy 14 stycznia 1969 r., tuż przed odejściem ze stanowiska, w nietypowy sposób wygłosił orędzie o stanie Unii. Jego słowa były ostatnim wezwaniem do uchwalenia ustawodawstwa Wielkiego Społeczeństwa. Najwyraźniej nie zabrakło mu problemów wymagających uwagi, jak się kiedyś obawiał. Amerykanie będą w dalszym ciągu zastanawiać się nad niepełnym triumfem we własnym kraju oraz niedokończoną i przegraną wojną za granicą swojego pierwszego kowbojskiego prezydenta, który przybył z górzystych terenów Teksasu, pewien, w jaki sposób można naprawić zło społeczeństwa. Opuszczając urząd, aby powrócić na swoje ranczo i do innych istotnych interesów, które dzięki sukcesom politycznym dały mu możliwość zdobycia, oparł swoją sprawę na historii. I mógł mieć nadzieję, że pewnego dnia Amerykanie, patrząc na wojnę w Wietnamie z dłuższą perspektywą, ocenią bardziej przychylnie niż jego współcześni to, czego próbował w Azji i główną rolę, jaką odegrał w tragicznej epoce, która wstrząsnęła narodem do korzeni.